



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg).

VII.

Wielkie nadzieje.

W podziwie nad temi cudami spojrzeliśmy jeden na drugiego, mając obadwaj tę samą myśl w głowie i jedno pytanie na ustach.

— Czy na zewnątrz jest odpowiednie dla nas powietrze? — zapytałem.

— Tak sędzę — odrzekł Cavor.

— Patrz pan — rzekłem — te rośliny będą wkrótce tak wysokie, jak my. A jeżeli się pan myli — gdyż jakaś niepewność powstała w tej chwili w mym umyśle, — jeżeli atmosfera tam na dworze nie jest powietrzem, lecz azotem lub kwasem węglanym tylko, co wtedy będzie?

— Bardzo łatwo się o tem przekonać — odrzekł Cavor, wziął duży arkusz zgniecionego papieru, zapalił go, otworzył prędko kłapkę otworu i wyrzucił płonący papier na zewnątrz. Wychyliłem się aby śledzić, co się stanie z papierem, gdyż w tej chwili cała przyszłość nasza zależała od tej na pozór drobnej rzeczy.

Gdy papier upadł na śnieg,

różowy płomień ognia przygasł prawie zupełnie. Po chwili dopiero ukazał się błękitny język, papier drżał, a ów niebieski płomień obejmował go, wreszcie strawił z wyjątkiem wąskiego brzegu, dotykającego śniegu, który parował nad czarną kupką popiołu.

Nie było już wątpliwości: powietrze na księżycu, jeżeli tylko nie było za rzadkie do oddychania dla ludzi, to dobre będzie dla nas, możemy zatem wyjść ze sfery, i żyć tutaj!

Pomimo licznych obrażeń i skaleczeń, uczułem w sobie nową energię. Wdrapałem się do otworu i chciałem go żwawo odśrubować, lecz Cavor zatrzymał mnie, mówiąc:

— Trzeba działać ostrożnie. Atmosfera na zewnątrz, wiemy, że jest powietrzem, ale może ono być tak rzadkie, że krew rzuci nam się ustami i nosem, jak to ma miejsce często z aeronautami, którzy nadto szybko unoszą się w górę.

Po tych słowach przygotował jakiś mdły napój, wypił sam pewną jego ilość, i mnie kazał uczynić to samo. Czuję się trochę odurzony po tym napoju, lecz nie zważając na to, zabrałem się zaraz do odśrubowania otworu. Jak tylko troszeczkę usunąłem zasuwę, zaraz powietrze z wnętrza domku zaczęło uciekać na zewnątrz, świszcząc jak woda przed przygotowaniem się w hermetycznie zamkniętym kocielku, co dowodziło, że powietrze na dworze było daleko radsze, pomimo słonecznego paru, niż powietrze wewnątrz domku. To mnie zastanowiło, spojrzalem



Popłynąłem, jak piórko w powietrzu.

pytająco na Cavora, który stał obok z cylindrem pełnym tlenu, gotów dodać go do otaczającego nas powietrza w odpowiedniej ilości. Chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu, tymczasem uczułem wielkie tętnienie w uszach i zupełną niemożność oddychania, a także dziwnie niemiłe uczucie koło uszów, na karku i na końcu palców. W głowie mi się zaczęło kręcić, porwały mnie mdłości, i nie byłem już zdolny do niczego. Głos Cavora, który coś do mnie mówił, zdawał się przychodzić do mnie z oddalenia, tak był słaby i cichy. Cavor podał mi kieliszek wódki, wypilem ją i zaraz lepiej się uczułem. Przez ten czas gwizdanie miesającego się powietrza ustało, lecz tętnienie w moich uszach było coraz silniejsze. Nie zważałem jednak na nic i znów zbliżyłem się do otworu, chcąc go odsunąć. Wtedy Cavor owym głosem przytłumionym zapytał:

- Czy panu lepiej?
- Prawie zupełnie dobrze.
- Czy chcesz wyjść na powietrze?
- A czemużby nie?
- A wytrzymasz pan tę zmianę, nie zemdlejesz?

Zamiast odpowiedzi zacząłem powoli odsuwać kłapę otworu, po chwili świeże powietrze napełniło wnętrze sfery, odetchnąłem swobodnie i usiadłem na krawędzi, rozglądając się dokoła

Ziemia w tem miejscu pokryta była śniegiem, którego nigdy dotąd nie dotknęła stopa ludzka. Zrobiłem znak krzyża świętego.

— Czy to ostre powietrze nie drażni pańskich płuc? — zapytał troskliwie Cavor?

— Bynajmniej, zupełnie dobrze się czuję.

Wtedy Cavor wyciął w środku swej wełnianej kołdry dziurę, aby głowa przez nią przeszła, okręcił się nią jak płaszczem, wdrapał na krawędź otworu z drugiej strony jego i spuszczać się powolutku, stanął na nowej dla nas ziemi. Stał chwilę, rozglądając się dokoła, a potem zebrawszy rękami improwizowany płaszcz, aby mu nie przeszkadzał, skoczył na najbliższą wyniosłość.

Skok jego zdziwił mnie, gdyż jednym susem oddalił się ode mnie na jakie 30 stóp. Stał teraz na wysokiej skale, i pokazywał mi coś gestami, a pewnie i mówił do mnie — ale ja nic nie słyszałem.

Nie mogłem pojąć tego wszystkiego, i Cavor w tym płaszczu, gestykulujący w powietrzu, wydał mi się skoczkiem, odgrywającym jakąś nową pantominę.

Jednakże i ja chciałem stąpić na tę dziewiczą ziemię i ostrożnie wysunąłem się na dół.

Stojąc na śnieżnej ławicy, chciałem dostać się do Cavora, więc tak samo jak on skoczyłem.

Nigdy nie zapomnę tego wrażenia. Ponieważ księżyc jest 36 razy mniejszy od ziemi, więc słabiej przyciąga, i nasze ciała miały na księżycu tylko szóstą część swej wagi ziemskiej; ale siła mięśni zostaje ta sama, stąd pochodziły nasze ogromne skoki. Cavor pochylił się ku mnie, i jakimś dziwnie piskliwym głosem wołał, abym był ostrożny.

Słuchając jego rady, powoli, sunąc nogami jak człowiek zreumatyzmowany, wdrapałem się na jego skałę i stanawszy obok, zacząłem rozglądać się dokoła. Sfera nasza leżała u stóp skały na śnieżnej ławicy.

Jak okiem zasięgnąć widać było tylko poszarpane skały, po których pięły się cienkie jak sznurki, kolczaste jakieś rośliny, gdzieś nięgdzie wyłaniały się olbrzymie, mięsiste kaktusy, a szkarłatne i fiołkowe porosty wprost rosły w naszych oczach i jak pełzające, żywe istoty, szybko pokrywały skały.

Naraz powstał mały ale przejmujący chłodem wiaterek; utulił się w płaszcz, czyli kołdry i przysłoniwszy oczy ręką przed oslepiającym blaskiem słońca, zaczęliśmy pilnie badać okolicę, czy oprócz życia roślinnego, nie dojrzymy jeszcze czegoś więcej.

Po długiej chwili Cavor rzekł — Zdaje mi się, iż ta planeta jest zupełnie pusta.

Tak, napróżno wzrok wyteęzałem, czy nie dojrzę śladów jakich budowli; lecz nic zwiastującego obecność człowieka dojrzeć nie mogłem, zawsze tylko widać było najfantastyczniejsze skały, wijące się jak węże rośliny i grube kaktusy.

Nie było owadów, ani ptactwa, żadnych śladów życia zwierzęcego. — Tak, — rzekłem do Cavora, — na księżycu żyją tylko te oto rośliny. — Cavor westchnął. — Ludzie tu żyć nie mogą, zmarzliby w nocy, a jednak...

Zamyślił się i po dawnemu zaczął mruzczyć. Ja nagle drgnąłem, bo uczułem, że ktoś dotknął mnie lekko w nogę, spojrzałem... Był to porost, który skwapliwie pokrywając skałę, zagarnął i moją nogę, znalazłszy ją na swej drodze. Uderzyłem go silnie nogą, rozsypał się w proch, lecz każdy atom padłszy na skałę zaczął znów rosnać szybko. Naraz Cavor krzyknął, spojrzałem w jego stronę, badając przyczyny, i zobaczyłem, że jedna z tych najeżonych kolcami roślin, dosięgnąwszy go, silnie ukłuła.

Nagle z poza stromej skały słońce oświeciło coś różowo-liliowego, przepyszny był to kolor! — Patrz pan! co to jest? — zawołałem, zwracając się do Cavora, ale Cavora nie było koło mnie.

Przerażony zacząłem go szukać dokoła, zapomniałem na chwilę, że stoję na księżycu, skoczyłem żywo, na ziemi krok mój posunąłby mnie o dobry łokieć, tutaj popłynąłem jak piórko w powietrzu przez jakie sześć sekund, i zrobiwszy najmniej z piętnaście łokci, stanąłem po kolana w śniegu, w wąwozie między niebiesko szaremi skałami, których boki gęsto przerzynały białe żyły.

— Cavorze — zawołałem z całej siły, lecz tylko echo odpowiedziało mi — Cavorze.

Wdarłem się na jedną ze skał, wyteęzałem wzrok, aby dojrzeć zaginionego towarzysza, Cavora nigdzie nie było. Straszne uczucie opuszczenia ścisnęło mi serce.

W tem ujrzałem go. Stał na skale o jakie trzydzieści łokci pode mną, mówił coś, uśmiechał się, ale ja nic dośłyszeć nie mogłem, tylko z gestów jego rozumiałem, że przyzywał mnie do siebie. Uradowany odnalezieniem towarzysza, nie namyślając się długo, skoczyłem ku niemu, lecz widać rozmach mój był za silny, bo przeleciałem nad głową Cavora, doznając zapewne uczucia ptaka szybującego w powietrzu, i zdawało mi się, że nigdy nie zlecę na ziemię. Krzyknąłem z całego gardła, rozpostarłem ręce, i wreszcie nie wiem już po wielu minutach, spadłem na jakiś ogromnej wielkości grzyb, który zmiażdżyłem swym ciężarem, lecz tenże osypał mnie od stóp do głów jakimś żółtym proszkiem. Ładnie musiałem wtedy wyglądać! Cavor, który to wszystko widział, zbliżył się do mnie, i śmiejąc serdecznie, zaczął mnie otrząpywać z tej żółtości, mówiąc ze zwykłą dobrocią.

— Musimy się tu ostrożnie poruszać, bo ten księżyc różne nam płata figle. Jak nie będziemy uważni, to zginiemy jak muchy.

Po chwili mogłem już odetchnąć po owym szalonym locie, a Cavor zauważył, że najprzód musimy się nauczyć chodzić po księżycu, zaraz też upatrując to lub owo miejsce, które nas zaciekawiało, udaliśmy się tam. Z początku Cavor miał minę mentora, ale gdy chcąc skoczyć na pewną wygodną platformę między skałami, zleciał w głąb kolczastego krzaka, który go pokłuł okropnie, zrównaliśmy się wtedy w naszych nowych ćwiczeniach. W krótko jednak przyuczyliliśmy się do tej nowej lokomocji i umieliśmy z wszelką pewnością podróżować po księżycu, lecz zajęci temi ćwiczeniami oddaliliśmy się od miejsca naszego wyładowania i straciliśmy z ocz naszą sferę.

Cavor szeptał: — Kolosalne wrażenie! A ja odkąd nauczyłem się chodzić po księżycu, z wiarą patrzyłem w przyszłość, bo czułem się tu niejako władcą i panem.

Nagle zwróciłem się do Cavora z zapytaniem.

— Słuchaj pan — a pamiętasz, w której stronie jest nasza kula?

— Eh? odpowiedział niewyraźnie. Straszna myśl strzeliła mi do głowy.

— Cavorze, gdzie nasza kula? — zawołałem..
(c d. n.)



Pieśń jesieni.

Z chłodnych wiatrów podmuchami,
Ponad góry i doliny
Płynę w wieńcu jarzębiny...
Czasem płaczę deszczu łzami.

To znów niebo się rozchmurzy,
Słońce spojrzysz w dal ukośnie,
Lecz nie zbudzi żadnej róży,
Jak to dzieje się o wiosnie.

Giną kwiaty, więdną liście,
Rżyska stroi pajęczyna,
Winograpy lśnią, ogniście,
Dzionek później się poczyna.

A i słońce krócej świeci,
A i ptasząt zmilkły chóry,
Liść za liściem z drzewa leci,
Po niebiosach płyną chmury.

Ja nie stroję ziemi skroni
W barwne kwiaty, wonne kwiaty,
Lecz się jabłoni w sadach ploni,
Dojrzewają śliw granaty.

Jam obfita w chleb i ziarno,
Mnie lud kmieczy z drzeniem czeka,
Moje ręce plony garną,
Ja uwieczam trud człowieka.

Zofia Zacharkiewicz.



List Helenki J. czytelniczki „Wieczorów.”



Znów o wystawie pisać będę, kochana mamo! Ciocia Dziunia zabrała mnie i Wańdzię na wystawę kucharską. Nasz Józef w Sokołowie pewnie o takiej nigdy nie słyszał, choć wyborne smaży pączki.

Szwajcarska dolina, miejsce, gdzie zazwyczaj odbywają się letnie koncerty, mówiąc nawiasem wcale do Szwajcaryi niepodobna, pstrzyła się wczoraj od różnokolorowych namiotów, ozdobionych wieńcami i chorągwiemi. Rozstawiono w nich produkty spożywcze i mnóstwo przedmiotów, odnoszących się do kuchni, lub mających związek z jedzeniem.

Jest więc np. wystawa noży z fabryki p. Bienkowskiego, jest bielizna stołowa, porcelana, szkło, naczynia kuchenne kamienne, miedziane, blaszane, niklowe. Są wspaniałe artystycznie odrobione zastawy srebrne, zwłaszcza p. Hempla prześliczna. Jest nawet stół nakryty, jakby czekał gości. Tylko mamo stół to bardzo wykwintnie zastawiony, a ja gdybym urządziła ucztę, to miałabym ochotę wyprawić taką, jaką król Edward uraczył w czasie swej koronacji... tysiąc tysięcy biedaków!

Ale nie o tem mówić chciałam.

Gorszyliśmy się z Wańdzią, bo czego najwięcej jest na wystawie, to butelek z winem i piwem. Czy podobna, aby Warszawianie mieli wypić to wszystko? Pocieszyło mnie tylko, że i w tym dziale znalazły się wystawczynie kobiety, p. Wanda Stryjewska dała miód, Anna Wernerowa wina owocowe, a Anna Bzurowa likiery i wódki. Ciocia poczęstowała nas wodą „Ursus” ze sławnego źródła w Oblęgorku, jest doskonała. Kto wie, może ta woda ma nadzwyczajne własności?

Śliczne ryby widziałyśmy na wystawie. Pływają w akwaryum wąsate sumy i złote karpie i wielkie szczupaki, które wyszczerzały zęby na przemykające się za szklaną przegrodą karaski.

— Rozbójniki — pomyślałam, ale ja okrutniejszy od nich rozbójnik, bo zjadam nie tylko ryby ale prześliczne kurki, kaczki, gołębie. Nie mam jednak na sumieniu tak pięknych okazów jak te, które wystawiła pani Ryxowa. Jej kokosze są olbrzymie; najokrutniejszy ludożerca stałby się kurożercą, gdyby zobaczył cudnie upierzone Brahmy gronostajowe, Paduany złociste i gromadkę kurcząt wodzonych przez murzyna. Tak, mamo, murzyn! Jest to prześliczny, ogromny biały kogut japoński z głową zupełnie czarną. On doprawdy powagą i gderliwą dobrocią przypomina wuja Toma z powieści pani Becher Stowe. A czubate jejmościanki, kury, cóż to za zabawna gromada wesołych kokoszek! Wańdzi oderwać nie mogłam od złotych i srebrnych bażantów. Ciocia podziwiała najwięcej wielkość wystawionych kur.

Potem zwiedzałyśmy prawdziwie piękną wystawę owoców świeżych i suszonych. Ślicznie wyglądają karłowate jabłkonki w wazonach, wystawione przez ogród Frascati, ale mnie więcej zajęły susze panien Górskich, bo w tym dziale palmę pierwszeństwa otrzymały kobiety. Ich jarzyny konserwowane mają kolor i zapach świeżych, a suszone gruszki, jabłka, wiśnie nie ustępują francuskim. Ciocię cieszyły najwięcej szparagi w puszkach p. Janiny Zakrzewskiej: dotąd sprowadzano takie konserwy z zagranicy, a przecież szparagi na naszej ziemi rosną doskonale, trzeba tylko umieć je odpowiednio zachować i dostarczyć smakoszem w jesieni lub zimie.

— My to potrafimy — powiedziałam do Wańdzi.

— Ja dziś bym już potrafiła. Gdyby nie ciekawe wykłady profesorów, nie widziałabyś mnie tu w Warszawie! westchnęła moja siostrzyczka.

— Gęś chowałaby gęsi i to bodaj tak piękne przynajmniej jak te — żartowała ciocia, wskazując okazy hr. Ostrowskiej, dawnej uczennicy zakładu w Chyliczkach.

Nie, gęsią za nic nie chciałabym zostać, ani ja ani Wańdzia, kożą do czasu, pozwalam, ale na żadne inne porównanie ze świata zwierzęcego nie przystaję, i postanawiam uczyć się porządnie, żeby ciocia Dziunia była z nas kontenta!

Mogłabym wymienić wiele jeszcze wystawczyń kobiet z różnych działów. Doskonałe są cukierki hr. Komorowskiej, bakalie owocowe p. Chrzanowskiej. Jeżeli znawcy chwalą wędliny p. Herbsta, to p. Julia Szabuniewicz słusznie szczyli się także swojami, jeżeli pan Budzyński, Chrzanowski, Świeżyński, mają na wystawie masło w różnych gatunkach, to ma je także panna Bronic, p. Gabriel, p. Łepkowska, a pawilon „Dobrej Gospodyni” okazałe się przedstawia.

Ciekawe tylko jeszcze jesteśmy bardzo, jakie też kobiety okażą zdolności jako kucharki, bo terazniejsza wystawa urządziła trzy konkursy: Do pierwszego stanęli pierwszorzędni mistrze z restauracji hotelu Europejskiego, Brystolu i innych, drugi urządzono dla czeladników kucharskich, do trzeciego mają być powołane kobiety kucharki.

Pragnę, by się im powiodło. Ale współubieganie się będzie trudne, półmiski, które widziałyśmy wczoraj na wystawie czeladników, były prawdziwie arcydziełami, już nie tylko smaku, lecz zewnętrznego wspaniałego wyglądu.

Miałby co chwalić stary soplicowski wojski, który tak kunsztowne umiał zastawiać obiady i serwisy.

Stało wczoraj na stole w Dolinie Szwajcarskiej sto półmisków, jeden piękniejszy od drugiego. Nigdy tak podanego drobiu, ryb, zwierzyny, jarzyn, nie widziałam. Nawet na weselu cici Dziuni nie było podobnych, o nie!

Wszystkie te potrawy, po obejrzeniu przez sędziów, oddają kucharze jako fanty na loteryę, z której zysk zasili fundusze Tow. Przeciwzembraczego. Prawdziwa ofiara, matczko, bo ciocia mówi, że te półmiski kosztowały nie tylko wiele pracy, ale i wiele pieniędzy. Spodziewam się! takie olbrzymie ryby, homary, zwierzyna, czego bo tam nie było!

Na każdym półmisku leżała kartka z nazwiskiem autora tego dzieła; sami autorowie - czeladnicy patrzyli niespokojnie, czy też ich potrawa zyska pochwałę. Nie wiem, co powiedzą sędziowie, ale jabym im wszystkim dała nagrody i wszystkich wyzwoliła na majstrów.

— Jak to dobrze, że gazety ogłaszają nazwiska tych kucharzy, to im będzie przyjemnie, a ja się cieszę, że nie tylko o wielkich bogaczach i o królach piszą w pismach — powiedziała Wańdzia.

Pewnie, że to dobrze. Pragnę jednak bardzo, aby i kucharzki zasłużyły na pochwały gazet. Ciocia Dziunia zabrała swoją na wystawę, chociaż Antosia nie potrafi upiec ani ugotować takich nadzwyczajności. Ale ciocia mówi, że zły ten żołnierz, który nie próbuje zostać generałem, niech więc Antosia zobaczy, co mistrz kucharz potrafi, a potem niech się stara go prześcignąć. Ciocia ma słusność, prawda?

Oglądałyśmy na wystawie wiele jeszcze ciekawych rzeczy, np. lód sztuczny, w którym widać zamrożone kwiaty, kwiaty z cukru u p. Semadeniego, zupełnie naśladowujące świeże; widziałyśmy ciekawy zbiór łyżek wszystkich epok i wszystkich krajów, ale niech tam resztę dopowie Wanda w swoim liście. Mnie leży na sercu jeszcze jedna sprawa, posłuchaj matczko:

Gdyby tak urządzić u nas w Sokołowie konkurs kucharzski na najlepiej upieczony chleb, lub najsmaczniej ugotowany barszcz? Niechby Stachowa, Antkowa, Frankowa, pochwały się najpiękniejszymi kurami i najpiękniejszym warzywem z ogrodów, które tatko założył dla fernali przy czworakach. Cóż matczka na to powie? Przełożona mówi, że współzawodnictwo wywołuje postęp, a pamięta matczka małego synka Jędrków! Toż umarła biedna dziecina, bo matka karmiła je niedopieczonym chlebem.



Kuchnia wzorowa na wystawie kucharskiej w Warszawie.

Matuś powie, że Heli zawsze nadzwyczajnie myśli do głowy przychodzą. Może, ale to prędzej do serca, serce we mnie niespokojne, chciałabym, żeby wszyscy ludzie mieli chleb smaczny i dopieczony.

Niech mamusia zawsze jak dotąd kocha swoją Helę.

MIEDZY OGNIEM I WODĄ.

OPOWIADANIE NAOCZNEGO ŚWIADKA.

W Nr. 21-ym „Wieczorów” podaliśmy opis całkowitej zagłady miasta St. Pierre na Martynice i 30 tysięcy jego mieszkańców w dniu 8 maja r. b. wskutek wybuchu wulkanu Mt. Pelé. Wraz z miastem, w tym dniu wiekopomnej w dziejach ludzkości katastrofy, uległo zniszczeniu 18 statków, stojących w porcie, a wśród nich angielskiego parowca „Roraima.”

Obecnie zamieszczamy opowiadanie głównego oficera tego statku G. S. Scotta o strasznych scenach, które działy się tam, o poświęceniu i dzielności jego załogi.

Żaden wytwór najbujniejszej wyobraźni nie dorówna temu prostemu sprawozdaniu naocznego świadka. Nadmieniamy, że wulkan wciąż jeszcze od czasu do czasu wylucha, grożąc istnieniu całej wyspy.

Wyruszyliśmy z New Yorku w sobotę 26 go kwietnia na parostatku „Roraima” pod dowództwem kapitana Muggah, dążąc do Demerara *)

Nasza załoga składała się z czterdziestu siedmiu ludzi, mieliśmy dwudziestu jeden pasażerów: mężczyzn, kobiet i dzieci.

O północy we czwartek 8-go maja, staliśmy na kotwicy przy wyspie Dominice, lecz o 1-ej w nocy odpłynęliśmy w kierunku południowym ku pobliskiej Martynice.

Wszystko szło dobrze aż do godziny 4-ej m. 45 rano. Trzymałem właśnie na pokładzie straży poranną, gdy nagle ogarnął mnie dym gęsty i zaczął spadać deszcz popiołu z północno-wschodniej strony wyspy Martyniki. Wezwałem kapitana, aby go zapytać, co sądzi o tem zjawisku. Nigdy jeszcze nie byłem świadkiem wybuchu wulkanu na Antyllach, ale przed laty widziałem Etnę w ogniu, więc miałem niejakię pojęcie o wulkanach.

— Przypuszczam, że to Łysa Góra, Mont Pelé, zieje tak dymem i popiołem — rzekłem.

— Tak, to Mont Pelé! — potwierdził kapitan.

Tymczasem wiatr odwrócił się i jał dąć od strony wschodnio-południowej, tak, iż dym szedł prosto na nas.

Optywaliśmy wyspę, trzymając się o dwie mile od brzegu, ale zmienne prądy, popychając nas ku lądowi, zmuszały kilkakrotnie zmieniać kierunek. Domyślaliśmy się, że powodem tego jest działalność wulkanu. Obaj z kapitanem byliśmy zaniepokojeni. Spadający na nas szary popiół był miazgi, ale ostry i przenikliwy. O kwadrans na siódmą rano zarzuciliśmy kotwicę w przystani St. Pierre. **)

*) Demerara czyli Georgetown główne miasto Gujany angielskiej w południowej Ameryce.

**) Miasto, które leżało u stóp Łysej Góry. Główne miasto wyspy jest Fort de France.



Wybuch wulkanu Mont-Pelé od strony morza.

Dozorca portowy i lekarz, jak zwykle zjawili się nibawem na naszym statku dla dokonania oględzin. Następnie przybyli agenci naszej kompanii przewozowej pp. Plesoneau i Testarte. Kapitan miał z nimi dłuższą rozmowę i zapytywał, czy nie przewidują wybuchu. Gęste kłęby dymu wzbijały się nad szczytem Łysej Góry, ale niebo nad portem było zupełnie jasne, staliśmy bowiem o dobre pięć mil na południe od góry. Agenci starali się nas uspokoić.— Zniszczył wprawdzie wulkan cukrownię przed paru dniami, ale ta stała u samej góry. Teraz nic nie będzie. Nie taili jednak, że wiele osób pragnie opuścić St. Pierre i schronić się na sąsiednią wyspę św. Łucyi.

Ponieważ mieliśmy ładunek dla św. Łucyi., kapitan wysłał mnie do składu towarów, abym zobaczył, czy można wydestać wprawdzie ładunek dla św. Łucyi, nie wylądowując towarów, przeznaczonych do St. Pierre. Stwierdziłem, że trzeba by poruszyć znaczną część ostatniego ładunku, więc kapitan Muggah uznał, iż nie należy zmieniać naszego pierwotnego planu, dla zatrzymania się tutaj i wylądowania towaru.

Nie mogliśmy przystąpić do tej roboty od samego rana, albowiem w dniu 8-ym maja przypadło święto Wniebowstąpienia Pańskiego; we wszystkich kościołach odprawiano msze św. W katedrze odbywała się suma i mnóstwo ludzi przybywało z okolicy do St. Pierre na to uroczyste nabożeństwo. Niepodobna było znaleźć rąk do pracy przed południem.

Nasi dwaj agenci wysłuchali rannej mszy, a że byli naczczo, więc prosili o cokolwiek „do przetrącenia;” nie chcieli czekać na nasze śniadanie, śpieszyli bowiem na pokład statku „Raddom,” który właśnie zawinął do portu, płynąc z Barbados. Obiecali wrócić za godzinę.

Tymczasem nasi majtkowie oczyszczali pokład z popiołu, który pokrywał wszystko na grubość cala. Był jasny, podobny do piasku, ziarnisty. Cały parowiec był nim przysypany. Nasze mundury wydawały się szare. Pasażerowie i załoga zbierali popiół, aby go schować na pamiątkę, wsypywali go do kopert, do tabakierek, do papierosnic. Jakiś duży Murzyn, pamiętam, ofiarował mi pudełeczko z tym popiołem.

Oficerowie zebrali się na pokładzie, aby podziwiać wspaniałą widok Łysej Góry, uwieńczoną pióropuszem dymu. Strzelał do nieba na znaczną wysokość, wiatr południowo-wschodni kierował go ku morzu. W przystani jednak powietrze było stosunkowo czyste. Słońce świeciło jasno i wesoło. Cała natura wydawała się spokojna, tylko ten czarny pióropusz rozdymał się złowieszczo.

* * *

Było parę minut po 8-ej. Gdyśmy tak stali wszyscy, patrząc na wulkan, podszyper rzekł do mnie:

— Muszę przynieść mój aparat. Mam tylko jedną kliszę, ale szkoda nie utrwalić takiego widoku!

Z temi słowy podążył do swojej kajuty. Nie ujrzałem go już nigdy więcej.

Nagle góra zionęła ogniem.

Czy utworzyły się w niej nowe kraterzy — niewiadomo, dość, że buchnął płomień olbrzymi, a z tak strasznym hukiem, że piorun w porównaniu z nim wydałby się wystrzałem z rewolweru. Stałem jak skamieniały. Nad górą utworzył się olbrzymi krwawy obłok, który runął na miasto, a za nim sypały się popioły i płynęła lawa.

W tej chwili kapitan wbiegł na pokład i kazał podnieść kotwicę. Chcieliśmy rozkaz wykonać, ale oto i na nas przyszła zagłada.

* * *

Trudno to opisać. Zdało się, że ognisty podmuch spalił i strawił ziemię i niebo, tak jak cyklon — wszystko co na swej drodze napotka; była to wichura płomienna, niecała wszędzie pożary w swym strasznym pochodzie. Trwała zaledwie parę sekund, ale od razu całe miasto zniszczyła. Ogień, płomień, dym i lawa, wszystko to razem ogarnęło nasz statek w mgnieniu oka. Najszybszy pociąg nie zdołałby umknąć przed tą katastrofą. My dostrzegliśmy tylko jedną stronę ognistego potoku, ale większa jeszcze fala spływała drugim skłonem.

Potem ogarnęły nas ciemności, głębsze od nocnych, lawa płynęła po wodzie, zapalając okręty. „Roraima” została odrzucona daleko od portu. w gwałtownym podskoku zanurzyła się głęboko w wodę. Wszystkie maszyny zostały zdruzgotane, dwa kominy złamały się na wysokości 2 stóp nad pokładem w taki sposób, jakby kto dużym kijem odtrącił wierzch rury glinianej. Usiłowaliśmy podnieść kotwicę ale nie mogliśmy jej wydobyć z mułu. Byliśmy przykuci do tego piekła. Chwilami ciemności zwiększały się, to znowu rozświecały je czerwone obłoki duszących gazów. Na okręcie w paru miejscach jednocześnie zapruszył się ogień, mężczyźni, kobiety i dzieci ginęły jak muchy. A stało się to w parę minut po 8-jej.

* * *

Salon i tylna część parowca stanęły od razu w płomieniach. „Roraima” przechyliła się na prawy bok. Z początku spadały gorące popioły, potem grad małych, rozżarzonych kamieni, wielkości od ziarenka śrótu, do jaj gołębic. Wpadały do wody z sykiem, ale okrętowi czyniły niewielką szkodę, albowiem pokład był zabezpieczony grubą warstwą spadłego poprzednio popiołu.

Następnie zalało nas gorące błoto, lawa, zmieszana z wodą, gęsta jak cement. Gdziekolwiek spadła, przylepiała się od razu, tak, iż ci, którzy nie mieli czapek na głowie, w jednej chwili zostali zakuci w twardą maskę.

Widząc tę spadającą masę, chwyciłem pokrywę jednego z wentylatorów i wsunąłem ją sobie na głowę, aż po szyję, oddychając przez otwór. To mnie ochroniło od oparzenia, ale brodę, twarz i nozdrza miałem tak przypruszone, że co chwila musiałem ocierać się z błota. Było ciepłe, lepkie, przylegało do ciała tak szczelnie, jak plaster.

Karol Thompson, pomocnik naszego płatnika, który stał za mną, miał głowę pokrytą tak grubą warstwą błota, że ugiął się pod jej ciężarem. Prosił mnie, abym mu zdjął tę skorupę; obawiałem się, że razem z nią odebrę mu skórę. Czulem gorąco na swej głowie, przez pokrywę od wentylatora, a wyobrażam sobie, jak jego musiała palić ta maska.

Nie wszyscy byli wówczas na pokładzie, kilku pasażerów ubierało się, inni siedzieli w jadalni. Tych wyziewy zatrąły od razu lub zatopiła woda, która przez otwarte okna wtargnęła do sali i kajut.

Na drugim końcu okrętu szalały płomienie; łuna biła z wybrzeża od płonących budynków, magazynów i fabryk; beczki z rumem wybuchały z łoskotem, zamieniając się w słupy ogniste.

(d c. n.)

Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).



Sawara nie mógł patrzeć obojętnym okiem na rodziny groźnego rywala wendy. Czuł, że z dniem otwarcia spółkowego sklepu będzie musiał zniżyć ceny wszystkich produktów i ta myśl odbierała mu sen. Bo Sawara mimo zdzierstwa nie był wcale tak zamożnym, jak powszechnie sądzono w Paranie. Ciężko na nim jakieś fatum zawistne, prędzej może krzywda ludzka, to pewna, że nie wiodły się Bułgarowi spekulacje, zawodziły najpewniejsze rachuby. Papiery kupione na giełdzie traciły wartość, łodzie które spławiały towar tonęły na rzekach, pożar niszczył jego magazyny.

— Ogień i woda przeciwko mnie, a ja i tak dam sobie radę — mówił rudobrody kupiec, którego życia nie znał nikt, gdyż osłaniała je głęboka tajemnica. Zawsze sam, nie uczęszczał na żadne zebrania, nie przyjaźnił się z nikim, nigdy też gość nie postąpił na progu jego mieszkania, bo gość w dom, to Bóg w dom, a progu Sawary nie przestąpiły wysłaniec Boży. Służył mu murzyn kupiony na targu w Kurytybie; zaprzędany panu ciałem i duszą, miał jednak Moha często plecy obatożone do krwi, a drżał przed kupcem, jak drzeć może tylko niewolnik.

Moha spełniał obowiązki kucharza, praczki, posługacza, czem bo nie był biedny murzyn! On tylko wchodził do pokoju za wendę. Sawara zamykał się tam szczelnie przed służącymi, których musiał trzymać dla załatwiania czynności sklepowych. Pokój nie miał dobrej reputacji, szepłano sobie pocichu, że dzieją się w nim bardzo dziwne rzeczy, że Sawara zaniedbuje od pewnego czasu nawet handel, a siedzi całymi dniami u siebie.

— Rozmawia z dyabłem, któremu dawno już duszę zaprzedał — mówili jedni.

— Robi złoto — utrzymywali inni, więcej jednak wierzone pierwszym, bo zdarzało się, że Sawara miał twarz i ręce prawie czarne, nikt więc jak „zły” nie mógł spłatać takiego figla kupcowi.

Nawet ksiądz Zieliński zauważył zachowanie Sawary. — Drżą mu ręce, jak gdyby dał je Bóg na wydzieranie ludziom pieniędzy, a dłonie człowieka dobro bliźnim i błogosławieństwo siać powinny — mówił szanowny kapłan.

Stefanowi obecnie Sawary stała się z czasem bardzo niemiłą. Pragnął być wyrozumiałym względem człowieka, który zazdrościł mu powodzenia, ale nie uczynił dotąd nic złego. Próżno jednak próbował zbliżyć się do kupca; sądząc, że jego doświadczenie handlowe może być cenne dla instytucji spółkowej, którą powoływał do życia, Sawara odpychał wszelkie próby robione w tym kierunku. Widok Stefana czynił go jeszcze więcej ponurym niż zwykle i zdawał się budzić odrazę, może wyrzuty sumienia.

Ale wenda Bułgara była najbogatszym sklepem, nabywano więc w niej towary, ile razy chodziło o znaczniejszy zakup, a taki właśnie obstalunek musiał dziś zrobić Luty. Nie zastał Sawary w sklepie, postanowił zostać, aż przyjdzie, bo zależało mu na spiesznym wysłaniu transportu do Rio Negro. Czarni posługacze załatwiali drobną sprzedaż pod nadzorem Mohy, a Stefan czekał skracając sobie czas czytaniem niemieckiej gazety. Śnać świeżo przyniosła ją poczta, bo leżała jeszcze nierozcięta na sklepowym stole.

Nowiny z Europy! cóż więcej nad nie może interesować człowieka osiadłego za Oceanem. Gazeta mieściła ich wiele, było to brukowce, informacyjne piśmko, donoszące o wszystkich i wszystkim, co zdarzyć się mogło w Niemczech.

Wzrok Stefana padł nagle na znajome mu dobrze nawisko. Zapisane one było krwawemi zgłoskami w jego pamięci.

„Niemnany don Jose de Fernambo Patamos a w rzezywistości Josek Salcman i Fryderyk Szwarz szynkarz, obaj rodem z Bremy, obwinieni o wielokrotne zabójstwo, zostali ujęci w Londynie i wydani przez policję angielską władzom niemieckim, a następnie skazani po przeprowadzeniu śledztwa na karę śmierci. Wyrok ma być wykonany w Bremie 28 b. m. a winni i t. d.”

Ręka sprawiedliwości dosięgła więc łotrów! zawołał Stefan. Wzruszony przeczytaną wiadomością, nie słyszał, że Sawara wrócił do sklepu, że pytał go po kilka razy jakich potrzebuje towarów.

— O łotrach pan mówi, o! łotry wszędzie się znajdują, tylko czasem udają świętoszków — zawołał opryskliwie kupiec i spojrzął na artykuł, który zajął uwagę Lutego. Zaledwie jednak przeczytał pierwsze wyrazy doniesienia, pobladł i było widocznie, że nie może oderwać oczu od ogłoszenia zwiastującego śmierć dwom skazanym.

— Gdzie ja widziałem ten dziwny ruch rąk? — myślał Stefan. Nie miał jednak czasu zagłębiać się w swych postrzeżeniach, bo Sawara wybuchnął nagle gniewem.

— Dlaczego się pan tak przypatruje moim rękóm? rzecież nie ma na nich krwi. Kto przychodzi do sklepu, en kupuje towary a pan przegląda cudze papiery i szuka w nich obelżywych podejrzeń. Czemu mogę służyć?

Luty przywykł do opryskliwości i dziwactw wendysty. Potrzebował zresztą Bulgara; przypomnienie niebezpieczeństw, od których ocalała go ręka Opatrzności, obudziły w nim tem silniejsze współczucie dla głodnych osadników Rio Negro. Nie zwracał więc Stefan uwagi ani na dziwaczne zachowanie ani na szorstkie słowa kupca i zajął się orliwie wybieraniem towarów.

— Znaczą pańskie banknoty — mówił Sawara po portugalsku, gdyż tego języka używał zawsze w sklepie. Fałszywe pieniądze są od pewnego czasu plagą Kurytyby — prawda Signor San Maio — dodał zwracając się do Sefa policji, który przy bocznym stole zajął aũ de libril (flaki) obsypane imbirem.

Signor szef skinał głową na znak potwierdzenia. Stefan wiedział, że Sawara skąpy, gdy chodziło o niesienie pomocy biednym, umiał dzielić się własnym obiadem dla poskonia względów osób wpływowych. Bulgar był mu antypatycznym we wszystkich przejawach swego charakteru, ale to ciekawość dokończenia artykułu streszczającego proces bremeński, przemogła nad niechęcią do kupca. Poedział więc kładąc rękę na niemieckiem piśmie.

— Załatwiłem już wszystkie moje obstalunki, ale mam jeszcze prośbę do pana. Chciałbym przeczytać żonie szczegóły ujęcia szajki bremeńskiej. Czy pożyczyci mi pan gazetę?

Po twarzy Sawary przemknął zjadliwy uśmiech. — Gotów jestem przypuszczać, że pan zna Szwarca alcmana? zapytał, patrząc bystro w twarz Lutego.

— Zgadłeś pan, znam ich istotnie i dlatego cała ta awa interesuje mnie wyłącznie.

— Signor San Maio, signor San Maio — zawołał kupiec, udając nagłą wesołość. — Ależ to niesłychane, Signor to przyznaje się sam do znajomości z dwoma sławnymi imiami skazanymi na śmierć za różne zbrodnie. Gdzie edy widywał pan tych ptaszków, co miałeś pan z nimi ólnego? No, spróbujmy sobie przypomnieć. Nie zabicie razem, nie kradliście, gdzież znów — szczył paląc w twarz Stefana — więc, więc może robiło się razem niązki, praca to nie ciężka a zarobek pewny, jest potem o postawić fabrykę...

Sawara mówił coraz głośniejszą publiczność zebrana w sklepie śledziła z zaciekawieniem zuchwałe słowa rudodego. Jeden tylko Stefan nie pojmował całej doniosłości oskarżeń, które on brał w dobrej wierze za niesmaczne y. Wołał też wyrzec się gazety niż słuchać dłużej kon-

ceptów Bulgara. Wyszedł ze sklepu nie zwróciwszy uwagi na to, że przeprowadziły go do drzwi spojrzenia wielu obecnych. Byli oni widocznie zdziwieni zachowaniem się fabrykanta.

— Pozwolił robić, sobie takie zarzuty — myślał ten i ów. Signor San Maio wdychał, zajądając flaki, bo miał zwyczaj wdychać zawsze, a nikt nie zwrócił uwagi, że Sawara wyjął z szuflady pieniądze, któremi Stefan zapłacił mu za towary i w ich miejsce położył paczkę banknotów dobytą z własnej kieszeni.

— Wyborna była wasza przekąska, pinga (wódeczka) jest także wyborna, muszę jednak wracać już do domu. Czeka mnie bardzo dużo zajęcia — powiedział signor San Maio, i wstał z wygodnego fotelu, ale gospodarz sklepu pobiegł ku niemu usłuźnie.

— Jakto opuszczasz moją wendę, chociaż pinga jeszcze nie wypita?

— *Muchas gracias senior,* *) ach to praca prawdziwa *cuesta de sufrimientos* **) nie mogę, nie mogę senior.

— Nie zatrzymuję więc, jeśli taka wasza wola, zróbcie mi tylko jeszcze jedną łaskę — mówił Sawara prowadząc gościa do biurka i otwierając je pośpiesznie — oto leżą tu pieniądze wypłacone mi przy was przez tego bogatego fabrykanta, który ma znajomości z łotrami skazanymi na śmierć. Naznaczyłem je, bo jak wiecie trzeba się bronić od złych ludzi. Raczcie przejrzeć te papierki i osądzić, czy są prawdziwe; nikt tak dobrze, jak senior znać się na tem nie może.

San Maio dobył z puzderka okulary, poszedł do okna, spojrzął badawczo na pierwszy banknot, odłożył go, wziął drugi, potem trzeci do ręki, przejrzał wszystkie z kolei i zawołał drżącym od wzruszenia głosem.

— *Mil diablos* — te pieniądze są fałszywe.

— Wszystkie! — krzyknął z udaniem przerażeniem Sawara.

— Wszystkie i zabieram je z sobą, bo właśnie przyjeżdża senior Darreda de Oliveira, delegowany na śledztwo w sprawie podrabiania pieniędzy, złożę mu te banknoty, jako cenny materyał dowodowy.

Wiadomość o przyjeździe urzędnika znanego z uczciwości zaniepokoiła Sawarę, ukrył jednak niezadowolenie i ubolewał tylko bardzo głośno i bardzo znacząco nad ogólnem zepsuciem, kiedy nawet tak powszechnie cenionemu człowiekowi jak senior Luto wierzyć nie można. Skargi te rozwoził do wieczora, starając się związać wieść o przyjeździe senora Darredo z odkryciem fałszywych pieniędzy wypłaconych przez Stefana.

Plotka najpotworniejście znajduje usta gotowe ją potwórzyć, dodawszy naturalnie trochę szczegółów dla efektu. Wieść rośnie, olbrzymieje, a że tam czyjeś dobre imię będzie splamione, że stanie się krzywda nie nagrodzona człowiekowi, który nie zawsze obronić się może od potwarzy, nad tem lekkomyślni rozsiewacze nowin rzadko się zastanawiają.

— Nie zabijaj! — brzmi wyraźnie piąte przykazanie, ależ zabić jednostkę uczciwą na opinii, to czasem większa krzywda niż odebrać jej życie. Stefan z pewnością wołałby był ponieść śmierć w walce z Botokudami, niż doznać szańbienia nazwiska, które uzacnił szeregiem czynów szlachetnych. Biedny Stefan! zbierały się nad jego głowachmury, a on ich nie przeczuwał. Tomasz, zajęty obrachunkiem kasy nie wychodził z kantoru restaurante, kolonisci rozrzućeni po osadach nie domyślali się niebezpieczeństwa grożącego panu Lutemu, nie domyślano się go i w fabryce. Tymczasem plotka robiła swoje, złe ziarno padło na sprzyjający grunt. Wiedziano w Kurytybie, że Stefan popiera projekt zniesienia niewolnictwa, że projekt ten, przedstawiony na posiedzeniu Izby prawodawczej w Rio Janeiro, ma za sobą wszelkie szanse powodzenia, i obawa

*) *Cuesta de sufrimientos*, góra cierpień.

**) *Muchas gracias* tysiąc podziękowań.

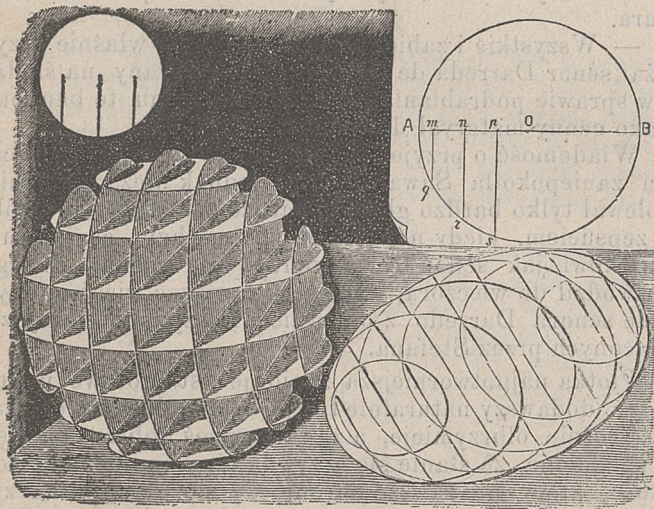
utracenia taniego robotnika jątrzyła Brazylian przeciw inicjatorom nowego prawa. Przytem w ostatnich czasach poniesiono wiele strat w skutek fałszowania pieniędzy, uparcie też obstawali wszyscy za tem, że ognisko występku znajdować się musi w samej Kurytybie. Chytre wskazówki Sawary, poparte słowami Stefana, przyznającego się do znajomości z przestępcami skazanymi na śmierć, rzuciły światło na sprawę obchodzącą ogół. Wynalezienie fałszerzy leżało w interesie wszystkich, a jeśli tym fałszerzem był obcy przybysz, signor polaco Luto, tem lepiej, odkrycie ptaszka zdyskredytuje jego kandydata w Izbie, upiecze się więc dwie pieczenie przy jednym ogniu.

(d. c. n.)

Ze świata.

Siedmioletni aeronauta. W Tourcoing, we Francyi, aeronauta zamierzał puścić się balonem z 7-io letnim synkiem, gdy nagle, zanim zdążył wsiąść do gondoli, lina urwała się i balon poszybował w dzieckiem w górę. Śród publiczności zapanowało łatwe do zrozumienia przerażenie, matka chłopca zemdląła, ojciec wpadł w rozpacz. Dziecko nie zginęło jednak — balon wznosił się na wysokość 5,435 metrów i spadł w Hainaut, na łąkę. Z opowiadań malca okazuje się, że nie stracił przytomności, gdy mu temu zabrakło ratował się wachaniem amoniaku, a skoro spostrzegł łąkę, wdrapał się w górę po linie i otworzył wentylator, tak, że balon spadł zupełnie prawidłowo; wieśniacy nadbiegli chłopcu z pomocą. Gdy ojciec wrócił z malcem do Tourcoing, ludność przyjęła go okrzykami radości, a grono dziewczynek ofiarowało bukiet z napisem „Siedmioletniemu aeronaucie.”

ZABAWKI WŁASNEGO WYROBU.



Kula elastyczna.

Zeby zrobić tę kulę, trzeba przygotować arkusz grubego papieru lub brystolu, cyrkiel dla wykreślenia kół, ołówki i nożyczki. Zrobienie jej wymaga nadto trochę uwagi, zręczności w palcach, której wyrobienie mają właśnie takie zabawki na celu.

A teraz do dzieła.

Na owym papierze, brystolu rysuje się najpierw koło $6\frac{1}{2}$ centymetra średnicy mające. Promień tego koła A O dzielimy na części, postępując od środka co jeden centymetr i podziałki oznaczamy literami *m, n, a*, (patrz rysunek), a od tych punktów kreślimy linie pionowe w dół *mg, nr, i ps*. Następnie wykreślamy cyrkiem drugie, takiej samej wielkości koło o promieniu O A i oznaczamy oba te koła *n. 1*. Potem kreślimy 4 koła *nr. 2* o promieniu długości linii *Ps*; 4 koła *nr. 3* o promieniu *nr.* i jeszcze 4 *nr. 4* o promieniu *mg.*, razem więc będziemy mieli 14 kół. Zanim je wytniemy, nakreślimy na każdym średnicę i poczynając od środka oznaczmy na niej w obie strony punkta co jeden centymetr, od punktów tych prowadzimy ołówkiem linie pionowe w jedną stronę. Teraz wycinamy wszystkie koła i robimy nacięcia po owych liniach od środka do średnicy. (największe koła będą miały po 7 nacięć najmniejsze po 3),

Dalsza robota jest już rzeczą łatwiejszą: bierzemy dwa koła Nr. 1 największe i wkładamy na krzyż jedno w drugie w nacięcia, aż średnice zetkną się z sobą, następnie wsuwamy w ten sam sposób kolejno koła nr. 2, 3 i 4 i ot, kula gotowa. Ma ona tę własność, że pod ciśnieniem palców może się wyginać i przyjmować różne kształty.

SZARADA.

ul. Stanisław S.

Pierwsze z drugim — nietylko z geometryi znamy,
Trzecie, zaimek liczby mnogiej mamy,
Czwarte także zaimek — całość, miasto, ale
Zgadnąć trza prędko, bo nie trudne wcale.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-0go.

Łamigłówki głoskowej:

M a t e j k o .

Teatr Maryonetek.

Odświeżony i gustownie przyozdobiony rozpoczął powakacyjne przedstawienia nowej sztuczki „W królestwie podziomków” oraz Latarnia czarodziejska z objaśnieniami.

Początek w niedzielę o godz. 4-ej i 6-ej, w czwartek i w soboty o 5-ej po południu.

Chmielna Nr. 9.

Do N-ru 42 dołącza się prospekt Gazety Polskiej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TRZEŚĆ: Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wellsa (z ryc.) — Pieśń jesieni, wiersz przez Zofię Zacharkiewicz. — List Helenki J., czytelniczki „Wieczorów.” (z ryc.) — Między ogniem i wodą, opowiadanie naocznego świadka (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Zabawki własnego wyrobu (z ryc.) — Ze świata. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: — Ważna nowina, wiersz Leona Rygiera (z ryc.) — Co znalazłem w błotach i kałużach przez Maryę Weryho. — Jak sobie Waluś poradził? — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Dla dzieci od Maryi Konopnickiej. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 29 Сентября 1902 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.

Ważna nowina.

Znacie dzieci, małą Wańdzię?
Nie? nie znacie?... O mój Boże!...
Spójrzcie dobrze na obrazek,
Przypomnicie sobie może...

* * *

Mała Wańdzia — to najmiłsze,
Najgrzeczniejsze dziecko w świecie;
Przytem hoża i rumiana,
Jak różyczka polna w lecie.

* * *

Słucha mamy, słucha taty,
Grzecznie się z braciszkiem bawi;
Dasz jej ciastko lub jabłuszko.
Wnet połowę mu zostawi!...



Teraz chodzi do ogrodu
Z mamą, albo starą nianią,
Może ją i wy spotkacie,
Więc — popatrzcie jeszcze na nią.

* * *

Oto siadła na ławeczce
I gazetę w ręku trzyma;
Szkoda tylko, że tatusia
Albo mamy przy niej niema.

* * *

Próżno Wańdzia wzrok wyteża,
Próżno kładzie okulary:
Tylko czarne, drobne znaczki
Na bibule widzi szarej...

* * *

A przeczytać nic nie może,
Chociaż tatuś mówi przecie,
Że o ważnej dziś nowinie,
Napisane jest w gazecie.

* * *

Tak się męczy, tak się biedzi,
Lecz daremna pilność cała,
Ach, — bo nawet abecadła
Nie zna jeszcze Wańdzia mała!

Leon Rygier.

Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

26. Ostatnia karta mojego dzienniczka.

Smutno teraz dni schodziły; nic robić nie mogłem.
Myśl o dziadku ciągle mię trapiła.

Rodzice byli też bardzo przejęci chorobą staruszka i codziennie posyłali dowiadywać się, o jego zdrowiu. I otóż w piątek, gdy wybiegłem na spotkanie służącej, która wracała ze szpitala, posłyszałem smutną wiadomość, że Szymon Mruczek już nie żyje.

Wybuchnąłem płaczem i długo uspokoić się nie mogłem. Już nigdy, nigdy nie zobaczę mego biednego dziadka. Ten krzyżyk pamiątkowy tak mi dziś był drogi. Jedyna rzecz, co mi po nim została.

Ojciec zajął się pogrzebem, który się odbył w niedzielę. Skromny karawan w jednego konia ciągnął trumnę mego kochanego staruszka. Zrobiłem wiązankę z polnych kwiatów i liści wierzby, pod którą siadywał dziadek i położyłem na trumnie, za którą szedłem z rodzicami.

Przypomniałem sobie ostatnie słowa starca w szpitalu: „bądź dla innych nieszczęśliwych takim, jakim byłeś dla mnie.” Mój dziadku, cóż ja dobrego zrobiłem dla ciebie? Przecie nic nie chciałeś przyjąć ode mnie! kochałem ciebie, boś był dobry, szlachetny, łagodny, wyrozumiały dla wszystkich...

Szedłem i myślałem, jak to się dziwnie czasem na tym świecie dzieje: w brudnych kałużach, bagnach, wodach stojących, gdzie nikt nie zagląda, znalazłem tyle

stworzeń ciekawych. Pomiędzy żebrakami, których ludzie najczęściej omijają, spotkałem istotę tak czystą i Kochającą a tak nieszczęśliwą.

Nic nie zdoła zatrzeć mi go w pamięci. Karawan stanął wreszcie przy bramie.

Czterech grabarzy zaniosło trumnę do grobu, wykopanego w końcu smentarza. Ksiądz pokropił mogiłę wodą święconą i zaśpiewał psalm pogrzebowy.

A mnie ogarnął taki żal, taki smutek, że się zdawało, że świat cały zamknął się przede mną i tylko serce otwierało się coraz więcej, coraz więcej.

— Dziadku — pomyślałem — przyrzekam tu, nad twoją trumną, że będę pracował nad sobą, aby zostać coraz lepszym, a gdy dorosnę pójdę z pomocą dla wszystkich biednych, uciśnionych i nieszczęśliwych — tak mi Bóże dopomóż.

I za księdzem rzuciłem garść piasku na trumnę starca.

— Niech ci ziemia lekką będzie, a światłość wiekuista świeci.

Jak sobie Waluś poradził.

Był we wsi mały Waluś, ośm lat miał dopiero, a już swej matusi pomagał w robocie. To obrał kartoffli do barszczu, to przyniósł drzewa na ogień, to zaniósł prosiętom wody do picia, to pokołysał maleńką siostrzyczkę, Jagusię. Jednym słowem był prawdziwą pomocą i pociechą matusi.

Ale co on też zrobił razu jednego.

Matka poszła z płachtą nabierać zielska a przed wyjściem rzekła do Walusia:

— Mój synku, pilnuj Jagusi i kurczątek. Siostrzyczce nie daj płakać, kołysz ją, a na kurczątka uważaj, z izby nie wypuszczaj i patrz, żeby tu jakiej szkody nie zrobiły.

Waluś powiedział: dobrze mateczko, dobrze. I gdy tylko matuś wyszła, a Jagusia zaczęła się kręcić i krzywić buzię do płaczu, Waluś siadł przy niej, kołysał i śpiewał jej tak, jak śpiewała zawsze matusia.

Kołysz się, kołysz, kolebko lipowa,

Niech cię, Jagusiu, Pan Jezus uchowa.

Uśnij że mi, uśnij, albo mi urośnij,

Może mi się przydasz, w pole gąski wygnasz.

Jagusia oczęta przymyka i już, już ma usnąć, a tu jedno nieuważne kurczątko idzie prosto pod biegun kołyski, drugie frunęło na brzeg wiaderka z wodą, trzecie dostało się do szafy i kaszę naokoło rozgrzebuje.

— A sio! — wola Waluś — a sio! i tem budzi małą Jagusię.

Co tu robić? Matula nie wraca, siostrzyczka płacze, a kurczęta broją i uśpić dziecka nie dadzą.

Na dwór kurczątek wypuścić nie może, wrona mogłaby które złapać, gdyby nie miał jej kto odstraszyć. Wtem przyszło mu na myśl, że można wszystkie kurczątka powsadzać do szufladki w stoliku.

— Ot — myśli sobie głuptasek — jak to będzie do brze! Chwyta jedno kurczę, drugie, trzecie, czwarte, piąte; wszystkie połapał, wszystkie schował do ciasnej szuflady, zasunął ją i dalejże na nowo Jagusię usypiać.

Kołysze, a śpiewa i nie słyszy, że biedne kurczątka gniotą się okropnie w szufladzie i przeraźliwym piskiem, proszą go o ratunek.

Nim matka nadeszła, usnęła maleńka Jagusia, ale w szufladzie ciasnej, udusiły się dwie pstrokate kokoszeczki i jeden czupurny kogucik.

A dla czego to się stało? — Bo Waluś nie wiedział, że zwierzęta zarówno, jak ludzie potrzebują do życia świeżego powietrza.

F. G.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).



Dzieci szczęśliwe były z tego obrotu rzeczy; zabezpieczony mieli dach nad głową na cały dzień, a przytem i posiłek! Zabrano się do przyrządzenia śniadania. Pan Szymon krzątając się około maszynki, na której gotował kawę, a co chwila zagadywał:

— Więc przyjechaliście z Austrii, tak, no, a cóż tu robić będziecie?

— Co? muszę prosić pana, odszukać rodziców tej dziewczynki, gdy ich odnajdę, sam wrócę do Brzezinek.

— Chcesz ich odnaleźć, to znaczy, że nie wiesz gdzie mieszkają?

— Nietylko to! Nawet nie wiem ich nazwiska, bo mała sama zapomniała.

Pan Szymon zdumiony, spojrzał nieufnie na chłopca.

— Prawdę powiedziawszy, niezupełnie rozumiem, co mówisz, i jakoś mi to wygląda na kłamstwo, lub dziwną historję!

— O! ja nie kłamię! To prawdziwa historia!

— No, to mi ją opowiedz, może ci będę mógł pomódz w tem poszukiwaniu. Jestem znany w mieście, mam duże stosunki, a przytem ludzie powiadają, że głowę mam nie od parady. Niejedno już mądrze obmyśliłem i niejedną oddałem usługę nieszczęśliwym! Szacunek mam ogólny; jedno moje słowo znaczy więcej, niż innych tysiąc! Nie na darmo jestem Szymon Kulba, z tych Kulbów, co to w kraju mieli głośne imię, i butów nie szyli tak jak ja!

Nalał kawę w garnuszki, zasiadł z dziećmi do stołu, a Wojtaszek gryząc chleb i popijając kawę, opowiadał szczegółowo przygody swego życia i małej towarzyszki. Pan Szymon słuchał z zajęciem, gdy chłopiec skończył, chwilę milczał, przypatrując się końcom swych starych, wykoszlawionych butów, wreszcie mruknął, kręcąc głowę.

— Sprawa ważna, bardzo ważna, ale też i trudna! Sam nie dasz sobie rady. Ja u siebie wszystko biorę, i działać będę. Ho, ho, zobaczysz, jak ja to wszystko mądrze urządzę, tylko musisz mi ufać, ani kroku nie robić bez mojego pozwolenia.

— Dobrze, dobrze, panie — przyrzekał Wojtaszek — tylko chciałbym wiedzieć, czy to się zaraz zacznie i prędko skończy, bo mi bardzo pilno.

Pan Szymon roześmiał się.

— Ho, ho, widzicie go, w gorącej wodzie kąpany, chciałby zaraz, a pieniędzy nie daje, przecież wszystko na świecie robi się za pieniądze.

Wojtaszek wyjął pośpiesznie jakieś zawiniątko z kieszeni i położył przed rozpromienionym wzrokiem pana Szymona sześć guldenów.

— Oto i wszystko — rzekł — więcej nie mam ani grosza!

— A to doskonale, kochanku, tak to zaraz sprawę zacznę; idę do redakcyi Kuryera, piszę sążnisty artykuł, podaję adres, i wszystko gotowe! Zaraz się tu po was zgłoszą! O, ja takie sprawy umiem załatwiać i szybko i dobrze, bo mam głowę nie do pozłoty, ni dla parady!

Serduszka dzieci skakały z radości!

Co za szczęście, że spotkali tego dobrego człowieka, on zna świat, ludzi, miasto, wszystko ułatwi! Nareszcie przestaną tułać się po świecie. Cieszyły się już naprzód, poweselały, a pan Szymon wzięwszy guldeny, nie wspominał już wcale, że są bez wartości i w kraju nie kursują, nałożył czapkę z fantazyą i wyszedł uśmiechnięty.

Powrócił dopiero wieczorem, przynosząc dzieciom trochę wędzonego mięsa, chleba i dużo nadziei. W doskonałym był usposobieniu, śpiewał i choć mu się nogi plątały, chodził po stancyi i zachęcał do jedzenia, smutną i osowiałą dziewczynkę.

— Wszystko zrobione, tak, jak należy, opisałem dokumentnie, a ten pan, co pisze w Kuryerze, przyrzekł mi, że najdalej za dwa dni zgłoszą się tu po was.

Dziewczynka, której ciemna i pusta izba odbierała wesołość, klasnęła w rączki.

— Och, jak to dobrze, jak dobrze, jak ja pana za to kocham!

Szymon ciągle się uśmiechał.

— Dla was to dobrze, rozumiem, ale dla mnie to była praca, a przytem nietylko wydałem wszystkie wasze pieniądze, ale jeszcze moich dołożyłem; teraz wszystko drogo kosztuje. No, ale trudno, skoro już wpadliście w moje ręce, to wam będę pomagał, tylko to najgorsze, że tam wypadnie coś jeszcze dopłacić, ale o tem później pogadamy. Ty tam jeszcze masz coś nie coś, prawda?

— Nie, panie, oddałem wszystko, nie mam ani grosza!

Szymon pokręcił głową.

— No, to zobaczymy, może się i obejdzie.

W takich warunkach dzieci spędziły u Szymona dni cztery, a wszystkie jakże podobne do siebie! Rano, Szymon dawał śniadanie, ale już nie kawę, tylko suchy chleb, potem wychodził na cały dzień i wracał wieczorem.

— A co słyhać, panie! — pytały dzieci, wybiegając naprzeciwko.

— Dziś nic jeszcze, jutro się wszystko roztrzygnie!

— Jutro, niechże Pan Bóg ześle to jutro.

Oczy im poweselały. Wyglądały jak ptaki zamknięte w klatce, wdychające do wolności. Ostatni dzień

siedzenia w ciemnej, brudnej izbie! Teraz już ciągle z sobą gawędzili.

— Ciekawy jestem — mówił Wojtaszek — kto też po ciebie jutro przyjdzie, mama, czy ojciec?

— Ej, pewnie oboje, a może przyjadą dorożką!

Nazajutrz wstali wcześniej, a wieczorem nie mogli doczekać przyścia Szymona. Wybiegli oboje przed dom a przytuleni do muru, patrzyli w wązką, w mroku pograżoną uliczkę!

— Czy idzie już? — pyta Nelli.

— Nie, nie widać go!

— Coś turkoce, słyszysz?

— Tak, tak, ale jeszcze daleko!

Serca im biją, wstrzymują oddech! Wreszcie lekka, zgrabna karetka, toczy się majestatycznie po nierównym bruku uliczki! W ubogiej dzielnicy miasta piękne pojazdy ukazują się rzadko, ale Wojtaszek wie, co ona znaaczy! To rodzice Nelli jadą po nich.

Wytęża wzrok, ale cóż to, nie zatrzymuje się? Jędzie dalej. Może woźnica nie wie, że to oni właśnie są temi dziećmi skradzionemi. Możeby pobiedz i zawołać, drży cały z niecierpliwości. Nie! to złudne nadzieje, woźnica zaciął konie, popędził szybko, twarz Wojtaszka spochmurniała.

— To nie oni, czemuż nie oni! — I chłopiec zaciął usta! Wtem... cóż to? Jacyś państwo przechodzą z przeciwnego chodnika przez błotnistą uliczkę i dążą wprost do nich. Pani przygląda się dzieciom, to może o...

— Mój chłopczyku — przerywa mu nagle wątek myśli, miły, dźwięczny głos kobiecy — czy ty mieszkasz w tym domu pod Nr. 8?

— Tak, pani!

— Nie wiesz, czy nie mieszka tu niejaka Katarzyna Barwińska, chora 80 letnia staruszka?

— Nie wiem, lecz mogę zapytać stróża.

Wbiegł do sieni, z której właśnie wychodził stróż. Chłopczyk ponowił pytanie.

— Nie, proszę państwa, nigdy tu u nas nie mieszkała taka osoba, to pewnie pomyłka, ale co to za interes?

Pani zamyśliła się.

— A jednak — rzekła do swego towarzysza — najwyraźniej w Kuryerze wydrukowane było „Solec Nr. 8.

— Czy tylko Nr. 8, czy wiesz na pewno? Prędzej przypuszczam, że zapomniałaś, bo Kuryer nie mógłby podać mylnego adresu tej biednej staruszki. Jutro trzeba się będzie tem zająć, dziś już późno, wracajmy do domu.

(d. c. n.)

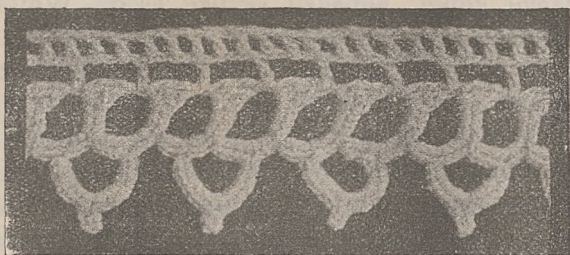
„Dla dzieci“ od Maryi Konopnickiej.

Wiele, wiele przysyłają nam książek do redakcyi! Zaledwie tytuły tych, które mogą być pożyteczne, i zajmujące dla czytelników „Wieczorów“ umieścić możemy, ale o tej książeczce, którą teraz dostaliśmy, piszę wam kilka słówek, bo to jest książeczka dla dzieci od jubilatki tegorocznej, Maryi Konopnickiej, poetki naszej. Pisaliśmy już o niej w Nr. 19-ym. Zbiorek to ślicznych

piosenek, poświęconych każdej porze roku. Jest ich 50, a książeczka kosztuje 20 kop. Oto jeden z wierszyków:

ORZESZKI.

Dalej, śmieszki, na orzeszki,
Dalej razem w las;
Już leszczyna się ugina,
Woła, woła nas.
My, leszczyno, ci ulżymy,
W to nam graj, w to nam graj!
Wnet orzeszkom poradzimy,
Tylko nam je daj!
A kto trafi na świstaka,
Tego smutny los;
Tylko próchno i tabaka,
Co nie idzie w nos!
A kto trafi na dwojaczki,
Ten powiedzie nas.
Dalej, śmieszki, na orzeszki,
Dalej, dalej w las!



Wzorek na szydełkową robotę.

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

do nagrody.

Pewien biały gołąbek spotkał stadko innych gołębi i rzekł: Jak się macie? Jakże dużo was się tu zebrało. Pewnie jest was ze sto?

— Niema nas stu — odpowiedziały chórem; — aby nas było sto, trzeba dodać jeszcze raz tyle, ile nas jest, połowę tej liczby, czwartą część, a w dodatku i siebie braciszku miły.

Ileż więc było gołąbków?

Za dobre rozwiązanie tego zadania z wyjaśnieniem sposobu udzielimy 2 nagrody, które będą wylosowane z pośród zupełnie dobrych.

Termin dwa tygodnie.

ZAGADKA.

E. L.

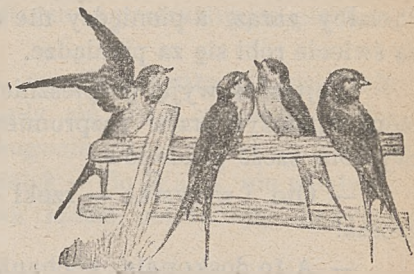
Jako zwierzę żyjące, jestem zuch jak mało,
Posiadam ostre rogi i postawę śmiałą.
Rad wlażę gdzie nie wolno, uparciuch z natury,
A nie łatwo mnie ściagać, gdzie skały i góry.
Lecz tam, gdzie ku potrzebie wyjdę z rąk człowieka,
Nikt na mnie nie uważa, choć widzi z daleka,
Gdym przybity do miejsca, jestem prawie niczem,
Więc lada prosty chłopiec siada na mnie z biczem.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 40-go:

Zadania arytmetycznego:

Dzików było 3, lisów 9, zajęcy 12.

Skrzynka do listów.



Pani A. Per. numeru początkowe dodatku powieściowego wysłałszy, nie nam się za nie nie należy.

Nauczycielce. Katalog książek wysyłamy pod opaską. Za słowa uznania wdzięczni jesteśmy, z udzielonego nam adresu korzystać będziemy. W zupełności podziwiamy zdanie pani, że dostarczanie młodzieży zbyt wielkiej ilości książek lekkiej treści, usposabia je albo do bardzo pobieżnego czytania, jak to mówią: „po łebkach,” albo wprost do lekceważenia książek i pewnej niechęci do nich.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Anuchna Gadomska, Tuhaj-bej, Alina i Wanda, Skrzętna Gosposia, Waclaw W., Gustaw i Zygmunt koledzy z IV klasy, Sir Warburton, Gwiazdka i Mściś z Lubrańca.

Rozwiązanie zadania geograficznego ogłosimy w przyszłym numerze.

Witam cię po wycieczce wakacyjnym **Wgnany Urwisie z Kopenhagi.** Bardzo to chwalebnie z twojej strony, że po powrocie do swojego zakładu odezwałeś się zaraz do mnie, darząc jak zwykle zajmującymi wiadomościami, o zajęciach, zwyczajach i zabawach szkoły duńskiej. Gry, które do ulubionych zaliczasz znam, z wyjątkiem gry *hockey*, o tej nie mam pojęcia i chciałabym abyś ją w przyszłym liście opisał. Może z tego opisu skorzystają i inni czytelnicy „Wieczorów.” Wielu uczących się podziela twoje gusta i przekłada łacinę nad grekę, historię i geografę nad matematykę, chociaż matematyka, moim zdaniem, należy do najbardziej zajmujących przedmiotów.

Wszędziebyłsi. Jak to dobrze, że lubiąc wszędzie zajrzeć, nie pominięsz i mojej skrzynki, wrzucając w nią tak starannie i dobrze, jak na siedmioletnią dziewczynkę napisany list. Wakacje spędziłam bardzo przyjemnie, narzekając czasami, że słońce tak od nas uciekało. Dla ciebie miesiąc wakacji zupełnie wystarcza, bo jeszcze niewiele się uczysz, nieprawdaż? A donieś mi, czy z czytaniem idzie tak dobrze, jak z pisaniem, czy uczysz już się czego więcej i jakie rozrywki są ci najmilsze? *Marudkę* pozdrów w moim imieniu i poprosz, żeby także napisała do mnie; czy ona ma tak wiele lekcji?

Wdzięcznym Wychowankom z Maryampola redakcja wysłała w porządku wszystkie numery, muszą więc ginąć na pocztocie, i radzimy podać reklamacyę. Tymczasem zaginione numery posyłamy wam powtórnie.

15-o letniemu Badaczowi. Sądzę, że każdy człowiek myślący, od młodości poczynając, musi zastanawiać się nad poważniejszymi zagadnieniami. Silną wolę i energię od młodych lat wyrabiać należy. Hartując ciało, hartuj i ducha, a hartowanie ducha polega właśnie na tem, by z silną wolą dążyć do celu, nie trwożyć się przeszkodami, nie zniechęcać przeciwnościami, ale przeciwnie, otrząsać się z chwilowej słabości śmiało, a z ufnością w Boga dążyć przed siebie.

Niezabudka z nad Bugu zgadza się chętnie za pozwoleniem rodziców na wymianę kart pocztowych z *Przepióreczką*, niechże ta ostatnia przyśle nam swój adres.

Wasza Jaskółka.